

W.p., sobota, 26 sierpnia 1944 r.

Nr 22

DOSWIACZENIA NARODU

Lat temu dwadzieścia cztery rozgrywały się wypadki, które w sposób decydujący zażyły na losach Polski i Europy. Armia czerwona szturmowała do bram Warszawy; gdy by ją była zdobyła, droga do Europy byłaby otwarta, w Niemczech wybuchłaby rewolucja komunistyczna, "światło ze Wschodu" zalało by Europę.

Wszystko to pokrzyżowała bitwa pod Warszawą. Był to punkt kulminacyjny i rozstrzygający w wojnie, która - jak to już dzisiaj wiemy nąpewno - była wojną politycznie zaczepną z punktu widzenia rosyjskiego i wojną prewencyjnie obronną z punktu widzenia wielkiej strategii polskiej.

W tej wojnie z górującym liczebnie przeciwnikiem Polska nie była w sytuacji szczęśliwej. Po 150 latach przywrócona do niepodległego bytu, nieorganizowana i nieskonsolidowana, gospodarczo zrujnowana przez wojnę i eksploatację okupanta niemieckiego - wszystko powodowało słabość, która umożliwiła nieprzyjacielowi jego chwilowe sukcesy.

Własnymi siłami

W kulminacyjnym momencie wojny Polska była zupełnie samotna. Zagranica początkowo nie szczeniła jej sków zachęty do walki, ale też do tego tylko ograniczała się jej pomoc. Prawda, Francja przysłała jej grupę oficerów sztabowych z Veyganden na czele, ale to była pomoc, jakiej armia mająca za wodza Józefa Piłsudskiego, najmniej potrzebowała. Czego istotnie potrzebowała - to konkretnej pomocy militarnej w żywej sile ludzkiej, w dostatecznym dopływie pierwszorzędnej sprzętu wojennego, w zastosowaniu jakiegś szerokiej koncepcji Lend - Leasu.

Tego nie było. Były natomiast strajki robotników w portach załadunku za drogą pieniądze nabytą amunicję dla armii polskiej. Była nagonka antypolska w części prasy sojuszniczej, sympatyzującej z ideologią, czy też raczej frazeologią tamtej strony. Były naciski oficjalnych czynników politycznych Anglii.

Nihil novi

Były wówczas zagranicą i pisma i ludzie, którzy głośno wyrażali zdumienie dlaczego i o co Polska właściwie się bije.

Przecież ta armia wkraczająca do Polski to nie wroga, imperialistyczna armia carska ale gwardia wolności, zwiastująca wyzwole-

nie spod ucisku społecznego i realizację wielkich ideałów ludzkości.

Przecież rząd, tą armią kierujący, pierwszy uczynił swym hasłem zasadę samostanowienia i samoodzielenia narodów, pierwszy zadeklarował, że chce Polski niepodległej i silnej.

Przecież czerwona armia ma w swych szeregach Polaków, zorganizowanych w oddziały, słuchające polskiej komendy.

Przecież polskie pisma i polskie odezwy, rozrzucone przez czerwonych żołnierzy, wyraźnie głoszą, że "oto wybija godzina", że "realizuje się ideał Polski demokratycznej, w której interesy narodu nie będą podporządkowane interesom uprzywilejowanych, w której urzeczywistni się prawdziwa władza ludu."

"Prawowity włodarz"

Przecież w ślad za "niezwyciężoną i bohaterką armią radziecką" postępował "jedyne legalny" rząd polski. Trudno nam stwierdzić w tej chwili, czy rząd ten nazywano ówczesnie "prawowitym włodarzem" - należy sądzić, że raczej tak - faktem jednak jest niewątpliwym, że składał się z wypróbowanych patriotów, jak "Edward Bolesław" Marchlewski, Feliks Dzierżyński, Feliks Kon, i z innych patriotycznych towarzyszy.

W oczekiwaniu na wyzwolenie Warszawy "rząd" zainstalował się w jakimś Choźmie i rozwinął gorączkową działalność około "stworzenia podstaw pod odrodzoną państwowość polską". Gotując się do "przejęcia administracji wyzwolonych terenów", rząd "przekreślał historyczny błąd wrogię ustosunkowania się do Rosji", "organizował braterski sojusz z braniai narodem", "w przyjazny sposób regulował sprawę granic". Nie mamy pod ręką dokumentów, stwierdzających, gdzie miała przebiegać "linia, wiążąca bratnie narody", po której stronie zostawiała Warszawę, zdaje się jednak, że nie w granicach Białorusi sowieckiej, ale Polski.

Rozwiane złudzenia

Nie urzeczywistniły się te piękne ideały ówczesnego "prawowitego włodarza". "Polski minister spraw wewnętrznych" Feliks Dzierżyński otrzymał dość piękne stanowisko szefa Cze-Ka, "polski minister sprawiedliwości" Feliks Kon musiał się zadowolić nieco skromniejszym stanowiskiem prezesa sądu. Wszyscy inni koledzy z rządu stopniowo podpadli pod władzę tych dwóch dygnitarzy w

charakterze już to oskarżonych, już to więźniów.

Co skłoniło tych mężów stanu do rezygnacji z tych górnych i chmurnych ambicji? Otworzył się rezultat wojny 1920 r. i jej decydującej bitwy nad Wisłą. Naród polski nie posłuchał zagranicznych doradców, zalecających "realizm". Nie zachwycił się perspektywami szczęścia, jakie przed nim roztańczyli patrioci z Moskwy. Poderwał się do najwyższego wysiłku i pod wodzą Piłsudskiego pchnął "wyzwolenczą armię" tak, że opamiętała się głdzie na granicach sprzed 1772 roku.

Jak to było?

Oto jak to dane, a tak niewiarygodnie bliskie dzieje przedstawia angielski autor popularnych "Dziejów Europy", H. A. L. Fisher:

"Huk artylerii bolszewickiej słychać było na ulicach Warszawy, i we wszystkich stolicach Europy panowała pewność, że temu nieszczęsnemu narodowi nic nie pozostaje innego, jak zawrzeć pokój z potężnym przeciwnikiem. Ale dzieje Polski są pełne nie spodzianek. Wspomagana przez Weyganda i sztab oficerów francuskich, armia polska pod dowództwem Piłsudskiego odniosła zadziwiająco wielkie zwycięstwo. Rosjanie zostali wypchnięci za granice i zmuszeni do podjęcia rokowań. Przez swój zdecydowany manewr w bezkrwawej bitwie pod Warszawą, Piłsudski zyskał sobie wdzięczność Europy. Uratował Polskę od bolszewizmu. Nikt nie może powiedzieć, jak daleko rozprzestrzeniłaby się zaraza, gdyby nie cud, jakiego dokonał on nad Wisłą." ("A History of Europe", str. 1130).

"Wdzięczność Europy"

Piłsudski nie chciał wdzięczności Europy. Piłsudski ratował Polskę. Fakt, że ratowanie Polski ciągnie za sobą ratowanie Europy - to okoliczność, wynikająca z naszej pozycji geograficznej i geopolitycznej, z naszego przejściowego położenia na terenie pomostu bałtycko-czarnomorskiego.

Położenie to sprawia nie tylko to, że Polska, ratując siebie, ratuje Europę, ale i to, że dla uratowania Europy trzeba ratować Polskę.

Tej prostej prawdy nie rozumiała Anglia w r. 1920. Uważała, że jej granice "kończą się na Renie". Francja wogóle była zdezorientowana w wyborze dróg swej polityki międzynarodowej. Trzeba było bezprzekładnego heroizmu narodu polskiego i geniuszu Piłsudskiego, aby wola i siła samotnej Polski mogła odrobić skutki krótkowidztwa i braku wyobraźni politycznej kierowników polityki mocarstw zachodnich.

Granice na Renie

Dzisiaj znów czytamy w prasie anglo-amerykańskiej pouczenia, że "tylko niepoprawni narzyciele" mogą liczyć, że Anglia i Ameryka mogłyby mieszać się do spraw Europy wschodniej. To jest przecież naturalna sfera wpływu Rosji. "Granica tej sfery

jest Odra" - pisze "realistycznie" "Times".

Czy jednak ambicje Rosji ograniczą się do Odry? Działalność w Moskwie Komitetu Patriotów Niemieckich, czy niemieckiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego spada jak kopniak na juchtowego buta w plecy angielskich i amerykańskich "realistów". Darowali Rosji granice na Odrze. Ona już dzisiaj wytycza na Renie.

Jak ta skała...

Historia się powtarza. Powtarza się w bohaterstwie narodów, powtarza się w ślepotach możliwych tego świata. Powtarza się też w naukach, jakie z niej wysnuwają ci, co chcą ją czytać uczciwie.

W roku 1920 Polska osamotniona i słaba postawiła sobie wielki cel: być mocarstwem na prawdy niezależnym - i wbrew wszystkiemu celowi swego dopięcia. W roku 1939 stanęła znów w obliczu sytuacji podobnej. Podjęła walkę, której nie mógł uwieńczyć natychmiastowy triumf. Podjęła walkę o niepodległość państwa i o wielkość Polski jednocześnie. Jeżeli taka decyzja została powzięta i okupiona wkładem milionów istnień ludzkich, to nie po to, aby rezygnować. Gdybyśmy zrezygnowali z Polski wielkiej, z Polski prawdziwie Niepodległej, to przekreślilibyśmy byt narodu.

W obecnej ciężkiej sytuacji narodu polskiego wamiśnijcie nieć zawsze w pamięci rok 1920 jako dowód zwycięstwa, wyrastającego z klęskowego podłoża. Oto mądre i prawdziwe słowa wielkiego Anglika, Churchilla, wypowiedziane w dniu 1 października 1939 r.:

"Polskę znów najechały dwa z tych mocarstw, które trzymały ją w niewoli przez 150 lat, lecz nie zdołały złamać ducha narodu polskiego... Duch Polski jest niezniszczalny. Powstanie ona nanowu jak ta skała, którą przez pewien okres burzy zalewać może huraganowa fala, lecz która pozostaje zawsze skałą."

S T A L I N W poprzednich artykułach omówiliśmy, że Stalin, który w określonych

celach gra propagandowo na zagranicę w i e l o s c i a Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich - równocześnie na wewnątrz już od szeregu lat zmierza do osiągnięcia j e d n o l i t o s c i Rosji bolszewickiej przez usilną rusyfikację narodów podbitych, poddawanych przez przesiedlanie i zsyłki ciągłemu przemieszaniu.

Ta gra, która z jednej strony usiłuje stopić przeszło 50 narodowości w j e d n e n nowy "naród sowiecki", z drugiej zaś przeszło 160 języków i narzeczy - zastąpić jednym językiem rosyjskim, nie jest zbyt łatwa i niewątpliwie rozłożona została na szereg swoistych "pięciolatek" brutalnego i nie liczącego się z niczym wysiedlania i wynaradawiania dziesiątków milio-

nów ludzi. Teren i możliwości tej gry przygotowano troskliwie.

Przede wszystkim tak uszeregowano władzę w ZSRR, że wszystkie t. zw. republiki, rządy, rady najwyższe sowieckie itp. są i muszą być tylko narzędziami w rękach instytucji partii komunistycznej (jednolitej organizacji dla całego państwa sowieckiego). Konsolidacyjnie więc konstytucja sowiecka, nadając w art. 126 partii komunistycznej, tej jedynej dozwolonej w Sowietach organizacji politycznej, wszechogarniającej **p r z y w i l e j** "kierowania wszystkimi sowieckimi organizacjami tak państwowymi jak i społecznymi", nie postawiła jej równocześnie **z a d - n y c h o g r a n i c z e ń**. Stąd faktycznym źródłem wszelkiego prawa w Rosji Sowieckiej jest nie konstytucja, jakby się to wydawało zachodnim demokratom, lecz rozkazodawstwo i działalność Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej bolszewików (w skrócie sowieckim WKP/b/). Stał tu partii, ujmujący wszystko w ramy żelaznej dyscypliny, włącznie do zakazu dyktowania zarządzeń i polityki WKP/b/, składa całkowicie władzę do rąk sekretariatu Centr. Komit. WKP/b/, którego kierownikiem jest Stalin. Stąd wszystko sprowadza się w Rosji bolszewickiej do w o l i jednego człowieka, a raczej przez brak jakiegokolwiek ograniczenia osoby Stalina - do jego samowoli.

Ci więc, co myślą, że dzisiejsza polityka Stalina rozbudowywania siły i jednolitości państwowej Rosji, zawiera w sobie trwałe wyrzeczenie się ideologii komunistycznej - ci musieliby naprzód odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Stalin i podwładna mu partia komunistyczna wyrzekli się komunizmu, czy przestali być komunistami.

Radykalne zmiany w Rosji Bolszewickiej **mogłyby bowiem nastąpić** dopiero wtedy, gdyby ten nieprawdopodobny fakt nastąpił. Czyż jest prawdopodobne, że Stalin, któremu się dzisiaj tak dobrze wiedzie, wyrzeknie się swojej ideologii? A jeśli takie dobrowolne wyrzeczenie się nie nastąpi, czy jest możliwe powstanie w Sowietach jakiegось innej, przeciwstawnej Stalinowi i jego partii komunistycznej siły.

To ostatnie niebezpieczeństwo Stalin dobrze docenił. Przygotowując więc teren pod niczym nieskrępowaną działalność, zaaranżował długi szereg sławnych na cały świat procesów, w rezultacie których najdokładniej wygubił nie tylko w Rosji, nie tylko na Ukrainie, Białorusi, Gruzji, Kazachstanie, Uzbekii itp., ale przede wszystkim w obrębie własnej partii tych wszystkich i to wszystko, co mogło stanowić choćby przypuszczalne ośrodki krystalizowania się innego, niż on tego pragnie, sposobu myślenia. Została więc zwarta, wierna i wielokrotnie sprawdzona czystkami partia komunistycz-

na, rzucająca w myśl wszechwładnej woli Stalina szarą masą bezradnych obywateli "podsowieckich". Na tej właśnie bezradności zrodziła się w masach sowieckich wiara, że jedynie jakaś wielka wojna, która zachwieje całym tym gniachem ustroju stalinowskiego, która z natury rzeczy wywoła jakieś wielkie ruchy i przemiany wewnętrzne, może, zwłaszcza z najazdem na tereny sowieckie jakiegось obcej potęgi, przynieść zasadniczy przewrót.

Ci, którzy przeszli gorzkie doświadczenia "raju" sowieckiego, wiedzą dobrze, jak ludność najdalej nawet od frontu odsuniętych terenów wzdychała: "ach, żeby te Niemcy do nas już doszli!" Ci, którzy obecnie uwalniają z niewoli niemieckiej jeńców sowieckich, wiedzą, jak bardzo oni nie pragną powrotu do Rosji Bolszewickiej. Tak bowiem myśli i tak reaguje bierna od wieków masa, zwłaszcza rosyjska.

Mniej bierni, żywiej myślący snuli szersze nadzieje. Rozumowali tak. Nie ma w Rosji Bolszewickiej żadnej siły, która by mogła przeciwstawić się Stalinowi i z którą Stalin musiałby się liczyć. Przyszła jednak wojna. Wyrasta olbrzymia, i jak to wynika z natury **czasu** wojennego, o wszystkim niemal decydująca armia. Na jej tle wyrósł ludźmi, którzy skupią w swoim ręku wielką władzę, kierującą dużymi rzeszami uzbrojonych, a przecież z reżimu wistocie niezadowolonych poddanych Stalina. Oni więc w odpowiedniej chwili będą mogli rzucić na szalę swój autorytet i swoją potęgę. Ten sposób myślenia przejął i Zachód, który po cichu na nadzieję, że na tej drodze właśnie rodzące się trudności wewnętrzne zniwelują ze wszystkie niebezpieczeństwa, które mogły paść dla świata z niezmiernych ambicji bolszewickich.

Jest to jeszcze jedno omamienie i tym niebezpieczniejsze, że wypływa z całkowitej nieznamomości i niedoceniań przeciwnika. Stalin doskonale sobie zdawał sprawę z tego niebezpieczeństwa, odrazu też postanowił je opłacać. Zraz też na początku wojny wyszedł ze swego "splendid isolation" (dotychczas nie piastował w państwie żadnego oficjalnego stanowiska, przewidzianego konstytucyjnym ustrojem ZSRR) i objął naczelne dowództwo armii czerwonej. Jakie skutki przyniosie Rosji narzucona jej przez Hitlera wojna z Niemcami, nikt nie mógł w czerwcu 1941 r. przewidzieć. Posunięcie Stalina potraktowano więc bądź jako niepotrzebne ryzyko z jego strony, bądź jako wyraz jego "bonapartystowskich ambicji". Tymczasem nie było tu ani jednego ani drugiego. Poprostu Stalin nie miał wyboru. Wiedział on, że przegrana wojna to koniec reżimu i na to nie ma rady. Zna on jednak bardzo dobrze nastroje swoich poddanych i doskonale wie, że pozostawienie armii samej sobie pozwoliłoby wyrósć jej na groźną i napewno przeciwstawną mu siłę. Armia więc zwycięska, to prawie napewno również koniec reżimu. Musiał więc wybrać tę drogę, na której leżały jedyne szanse nie tylko uratowania, ale spotęgowania i ugruntowania dotychczasowego stanu rzeczy w razie zwycięstwa nad Niemcami. Naczelne wo-

dzostwo Stalina to kłapa bezpieczeństwa, czuwająca nad tym, aby ten olbrzymi kocioł, jakim jest armia w czasie wojny i, co dla Stalina ważniejsze, w dzień po wojnie, nie rozładował swojej energii w kierunku dla Stalina niepożądanym.

Sam zresztą reżim i jego treść chronić no od samego początku.

Zdawano sobie sprawę, że mimo bolszewickich przechwałek, że "mogą być bądziery na jego terytorium", armia sowiecka nie wytrzyma naporu Niemców i ponosić będzie klęski. Dlatego też Stalin nie uznał tej wojny od początku za komunistyczną, tylko za wojnę, mającą za zadanie obronę ojczyzny (oświeceniową wojnę). Przeprowadzając usilnie analogię z wojną 1812 roku, za chęcał Rosjan do tradycyjnej obrony - boć przecież gorzej bywało i daliśmy sobie rady. Dopiero teraz, kiedy Sojusznicy zaczęli wyraźnie zbliżać się do zwycięstwa nad Niemcami, coraz szybciej znika z kompletnych hasła sowieckich zasada rosyjskiej walki w obronie ojczyzny, a co raz mocniej zaczyna grać hasło "wyzwalania narodów innych z niewoli hitlerowskiej". Obrona była rosyjska, atak na innych staje się coraz bardziej międzynarodowy.

Wszystko zaś przeprowadza "jeden genialny wódz - Stalin". Stalin bowiem, sprytnie schlebując armii, jednocześnie całą szławę wojenną dyskontuje dla siebie. Staje się jedynym kierownikiem całej armii sowieckiej, on prowadzi ją do zwycięstw, on też poprowadzi ją dalej poza granice ZSRR. Wszystko, co trochę choćby wyrasta, jest likwidowane. Dlatego tajemnicą wielką otoczone jest nagle zniknięcie z gwiazdozbioru sowieckich marszałków osoby tak do niedawna szanowanego Timoszenki. Ostatnio zniknęło z komunikatów nazwisko szefa sztabu Szaposznikowa, tak do wczoraj "genialnego". Zostaje na placu wożony aż do Teheranu niernota Woroszyłow, który acz na rachunku wojennym ma tylko klęski, za to odznacza się niewątpliwą wiernością dla Stalina. Są jeszcze młodzi marszałkowie, jak Rokossovski i inni, którzy albo oddadzą swoją stosunkowo młodzieńczą energię (wiek nowych marszałków nie przekracza na ogół lat 45) na usługi zaborszych celów Stalina, albo jutro również znikną z horyzontu, bo najwyższa sława i wielkość może być udziałem tylko Stalina.

Tylko tej grze należy przypisać zlikwidowanie t.zw. "komisarzy politycznych" armii czerwonej. Również też komentowano ten fakt, jako odkomunizowanie armii sowieckiej. Stalin przecież podczas rewolucji i towarzyszącej jej wojny cywilnej zrobił karierę nie jako dowódca, a właśnie jako komisarz polityczny tych czy innych oddziałów armii czerwonej. Dowódcy tych oddziałów, późniejsi generałowie czy marszałkowie armii, jak Tuchaczewski, Jakir, Uborewicz itp., zostali w następstwie przez Stalina wystrzelani pod zarzutem szpiegostwa,

choć przecież nie chodziło o szpiegostwo, a prosto o rozbieżność ze Stalinem w poglądach na politykę zewnętrzną i wewnętrzną. Stalin nie chce mieć tej sytuacji, w której jutro musiałby strzelać i "komisarzy politycznych", którzy by zapragnęli robić karierę jego wzorem i którzy ustawialiby armię może nie zawsze tak, jak on by chciał.

Stalin musi być jedynym, którego armia słucha, na nic się nie oglądając. Musi mieć cały autorytet i władzę na ten pierwszy dzień po wojnie, kiedy to stanie przed nim najtrudniejsze zadanie do pokonania - demobilizacja. Zdaje sobie dokładnie sprawę, że wpełnienie jej wyznaczonych dzisiaj oficerów i żołnierzy (sute epolety, odznaczenia, tytuły itp.) spowodowałoby szarżę koczochozów czy nowych, ciężkich i głodnych "pięciolatek" odbudowy zniszczeń wojennych nie pójdzie łatwo.

Stalin też tej armii nie zdemobilizuje. Ale też nie może mieć w tej armii żadnych sił, które by zakrzyknęły: "dovolno ny uže krowuski popili (dość mamy wojny)", albo jeszcze tragiczniejsze dla niego "za chto ry borolis (o cośmy walczyli)?" Stalin będzie musiał dużą część tej armii, rozpalonej dzisiejszymi zaszczytami, zużyć, podobnie jak musiał wyniszczyć te oddziały, które, zetknąwszy się z rzeczywistością Polski, zobaczyły nagle, że na Zachodzie wcale nie jest tak, jak to wprawka w nich propaganda sowiecka, i zaczęły stanowić potencjalne niebezpieczeństwo buntu. Posłano je wtedy na front fiński, który też może celowo był ślinationy, choć i bohaterstwo niezwykle malenkiego w porównaniu z Rosją narodu odegrało tu swoją wielką rolę. Front ten wykończył Stalin jako doskonałe żarna do zmiełenia na miazgę tych wszystkich, których owionął duch "zgniłego Zachodu".

Stalin więc będzie musiał zużyć i dzisiejsze kadry armii. Stalin nie będzie się mógł zatrzymać, ale mu to na rękę, bo zatrzymać się nie chce. On chce iść dalej. Wykorzysta więc pozostałą siłę uderzeniową swojej armii, wykorzystując odwieczne parcie rosyjskie na Zachód w dwojaki sposób: 1° parcie nacjonalno-rosyjskie będzie skierowane na "złanie się wszystkich słowiańskich strumieni w rosyjskim morzu", a więc Polska i Słowianie Południowi - panslawizm, 2° parcie sowiecko-komunistyczne realizować będzie naprzód przez wyzwolenie wszystkich narodów z jarzma hitlerowskiego a następnie z jarzma kapitalistycznego. Tak będzie wyzwalał przede wszystkim Niemców, do których już dziś przenawia ustami Paulusów czy Seydlitzów. Obalwszy w Niemczech jeden reżim, ponoszą Niemcom do zbudowania reżimu innego. Wzory są gotowe. Pójdzie mu zaś to tym łatwiej, im głębiej sięgną już dzisiaj dające się odczuć nastroje demobilizacyjne w armiach i społeczeństwach Wielkich Demokracji, dla których zwycięstwo nad Niemcami i Japonią kończy sprawę.

Kto nie widzi tego faktu, że armia sowiecka, stanowiąc niebezpieczeństwo dla re-

żimu, musi być w pełni ta wdziałość dalsze, a tak przecież leżące na linii zamiarów WKP/b/, kto więc nie rozumie, że długo po zwycięstwie nad Niemcami trzeba będzie "trzymać proch w stanie suchym", ten dobro wolnie kręci na siebie bicz. Ten jest jak ów kapitalista, który jeśli dziś może zarobić na wystawieniu szubienicy, na której jutro niechybnie będzie powieszony, nie chce myśleć o jutrze, a właśnie tylko o dzisiejszym zarobku. Stalin ma dzisiaj bardzo wiele przesłanek na to, aby wierzyć, że tę szubienicę Europa dla siebie wystawia.

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

MONTGOMERY - Autor niniejszego artykułu
MISTRZ ATAKU jest młodym Amerykaninem, który, wstąpiwszy jako ochotnik do armii brytyjskiej, odbył całą kampanię afrykańską w szeregach VIII armii brytyjskiej. -

Generał Sir Bernard Montgomery, który trzydzieści pięć ze swoich pięćdziesięciu sześciu lat przesłużył w wojsku z oddaniem i prostodusznością mnicha - jest idealnym dowódcą armii w polu. Z wytrzymałym, żylastym ciałem idzie o lepsze dzielny, sprężysty umysł; rozporządza on całkowitym zaufaniem swych żołnierzy; zbadał najdokładniej swego nieprzyjaciela i - przyswoił sobie w mistrzowski sposób zasadę ścisłej współpracy lotnictwa z wojskami lądowymi.

Podkreślam czynnik wytrzymałości. Lord Wavell, prawdopodobnie najlepszy generał brytyjski epoki obecnej wojny i jeden z wielkich Anglików naszych czasów, jest zdania, że generałowie winni przejść taką samą próbę wytrzymałości, jaką się stosowało do dział polowych w armii brytyjskiej. Oficerowie, przeprowadzający próby, zrzucali nowe działo z wieży wysokości 30 metrów poczem schodzili i strzelali z niego. Dopiero po przejściu tej próby komisja dopuszczała działo do dalszych prób.

Próba taka może nadwyrężyłaby ciało Montgomery'ego, ale nie wierzę, by mogła uszkodzić jego umysł lub charakter. Montgomery okazał się w Pustyni Zachodniej pierwszym chyba dowódcą alianckim, gotowym zapłacić cenę zwycięstwa. Trzeba było mieć bardzo wytrzymałą duszę, aby wykonać pod Alamein plan ataku gen. Alexandra, rzucający żołnierzy, przeżartych chorobą pustyni, na najtwardsze punkty niemieckiej obrony. Montgomery zgóry wiedział, że straty będą wielkie - w niektórych batalionach do 75% - ale wiedział także, że zwycięstwo będzie warte tej ceny, i wojsko je go zapłaciło tę cenę dla niego.

Widziałem go pierwszy raz na miesiąc przed tą bitwą, gdy odbywał przegląd naszego batalionu w Burg-el-Arab, tuż za frontem. W licznym szeregu dowódców, którzy następowali po sobie w ciągu czerwcowego odwrotu do Alamein, Montgomery, przybyły z Anglii, znany był jedynie z dwóch szczegó-

łów: przywiązywał wielką wagę do błyszczącego wyglądu metalowych części wyposażenia i był zwariowany na punkcie zaprawy fizycznej. Nic nie mogło być bardziej niecnawstwe Szczerom Pustyni, tej armii żołnierzy najbardziej niedbałych, cynicznych i **za-trzeźwiej ryjących z całego świata**. Przygotowani byli już, że będą czuli niczego do tego małego generała. Pierwsze spotkanie utwierdziło ich w tych podejrzeniach. Dokonał on przeglądu całego batalionu, nie mówiąc do nikogo ani słowa (wyjawszy oficerów), chodząc uderzał laseczką w otwartą dłoń, i wpatrywał się w twarz każdego **żołnierza niebieskimi oczyma, najbardziej świetlistymi i najbardziej przenikliwymi ze wszystkich, które widziałem**.

Otwierając mówiąc, przestraszyłem się tego człowieka i tego, co mógł nam wyrządzić. Wydawał mi się liniowym generałem starej daty, o umyśle ograniczonym do piechoty i artylerii: rozbić wroga i przejść przez jego trupa. Postąpiłem dość długo po jego odjeździe i pomyśleliśmy, że jest arogancki.

Bitwa zmusiła nas do zaprzestania stękania, ale wciąż jeszcze znajdowaliśmy go aroganckim. Przede wszystkim, wszyscy wie działaliśmy, co się dzieje: na jego rozkaz plan bitwy został podany do wiadomości **żołnierzy wszystkich stopni, a nawet ostatni strzelec wiedział nie tylko to, co ma sam robić, ale i to, co mają robić dywizje po jego prawej i lewej stronie**. Ponadto wiedział on, dłaczego ma to robić. Było rzeczą rewolucyjną stać się zaufanym generała; czuliśmy pewnego rodzaju podniecenie, ponieważ szliśmy na spotkanie przygodzie, mającej sens i cel.

Otrzymawszy jego zaufanie, oddaliśmy mu swoje. Bitwa była bardzo zła, ale nikt nie próbował unikać. Zwycięstwo wzmocniło naszą wiarę w niego. Montgomery wiedział, w jaką nutę uderzyć, gdy mówił: "Musicie być prawdziwymi dowódcami naszych żołnierzy, i stworzyć bezwzględne zaufanie między dowódcami a szeregowymi." Następnie dodał, z kwaśną miną: "najpewniejszą metodą zdobycia zaufania jest powodzenie". Otóż sukcesy pod Alamein, pod Agheila, pod Mareth, w Tunezji, na Sycylii, we Włoszech - natchnęły VIII armię takim zaufaniem do Montgomery'ego, że poszliby na Berlin, gdyby wydał taki rozkaz. "Wszystko można zrobić z armią, której morale jest wysokie" - zwykł mawiać.

Odporny umysł daje mu siłę moralną, konieczną do zapłacenia ceny za zwycięstwo; pewność siebie i świadomość, że **posiada** zaufanie wojska, pozwalały mu na swobodę wyboru przy pobieraniu ważnych decyzji. Głęboka znajomość nieprzyjaciela oznacza, że mógł on być całkowicie pewny psychologicznej i taktycznej słuszności swych decyzji. Zanim jeszcze przybył na pustynię, dostrzegł fatalne ograniczenie Rommla - który był znakomitym taktikiem, ale kopiował samego siebie. Wiedząc, czego się może spodziewać

po Rommlu, Montgomery mógł zawsze wykonać pociągnięcie, szachujące Rommla. Nad Łóżkiem Montgomery'ego wisiał zawsze portret Rommla, aby przypominać Montgomery'emu, jakim jest człowiek, którego ma pobić.

Co dotyczy żołnierza niemieckiego, Montgomery nazywa go pierwszorzędnym i do brzo wyszkolonym, bardzo dobrym technicznie w używaniu broni, posiadającym orientację terenową i zysk absolutnego posłuszeństwa. Jednakże niektórzy Niemcy, wzięci do niewoli we Włoszech, byli "niezwykle inteligentni". Młodszy, przesiąknięci nawskroś faszystowską doktryną, są "bardzo junacy"; starsi, nie tak bardzo przesiąknięci doktryną, byli mniej junacy. Jednym słowem: "Niemiec jest dobrym żołnierzem i będzie walczył, ale myślę, że prawdą jest, iż skoro go się powali, podda się."

Jest bardzo ważne, by dowódca armii polowej wiedział o tych rzeczach. Może on przewidzieć reakcję przeciwnika; nie przeceniając jego oporu, napewno nie niedocenia go. **Fuchs** o wszystkich niebezpieczeństwach przez dokładne studia, Montgomery może wykorzystać własną sprężystość umysłu. Jest zawsze rzeczą trudną podzielić sprawiedliwie sławę zwycięstwa między dowódcą naczelnym, jego szefem sztabu, i dowódcą armii polowej; jednakże sądzą, że historia przypisze kampanię afrykańską Alexandrowi, tak jak przypisze kampanię europejską Eisenhowerowi. Ich rzeczą była strategia; ale dziełem Montgomery'ego było zastosowanie strategii, czyli taktyka.

Montgomery był jednym z nielicznej grupy patrzących w przyszłość oficerów brytyjskich, którzy zaczęli uczyć się i przygotowywać do tej wojny w dwudziestych latach naszego wieku; był on wtedy jeszcze młodszy oficerem. Zaznajomił się z mechaniką nadolagającej wojny, zwłaszcza z dwiema innowacjami, które miały najradzykalniej zmienić bieg wojny - z silnikiem spalinywym i z aparatem radiowym nadawczo-odbiorczym, z których pierwszy zwracał armii ruchliwość, a drugi dawał dowódcy momentalne meldunki, umożliwiające wydawanie momentalnych rozkazów. W roli młota kowalskiego, wprowadzającego w życie plany dawniej Alexandra, a obecnie Eisenhowera, Montgomery uwypukla swą sprężystość umysłu.

Tak np. pod Alamein odwrócił on zupełnie przyjęte na pustyni postępowanie: zamiast prowadzić bitwę czołgów, zgryźł on piechotę Rommla swymi działkami o swą piechotę. Rommel miał do wyboru: albo przeciwatakować bronią pancerną, by ocalić piechotę, albo uchodzić bez piechoty. Nie mógł nakazać odwrotu, ponieważ nie miał żołnierzy, aby utrzymać się na linii dalej na zachód; był więc zmuszony do walki czołgów pod Alamein, na terenie wybranym przez Montgomery'ego. Ponieważ Montgomery podyktował czas i miejsce bitwy,

mógł zgromadzić swe siły pancerne i trzymać je w rezerwie aż do chwili, gdy Rommel wystąpi. Wtedy rozstrzygająca okazała się przwaga VIII armii w działkach pancerne i w czołgach, zapewniona przez nowe znakomite czołgi amerykańskie, Shermany. Bitwa o Afrykę została stoczona na terenach pod Alamein, i od tej chwili Rommel już nie potrafił odrodzić swej broni pancernej.

Również sprężystość umysłu zapewniła zwycięstwo na linii Mareth na wiosnę następnego roku. Montgomery rozpoczął bitwę atakiem czołowym na najsilniejszy punkt linii, podobnie jak to uczynił był pod Alamein. Linia wytrzymała to natarcie, wobec czego Montgomery wysłał przez pustynię oddział, który okrążył prawie skrzyżło niemieckie. Wystarczyła tylko groźba obecności tego oddziału na tyłach, by zmusić Rommla do odwrotu.

Montgomery sformułował i sprawdził wielką zasadę nowoczesnej wojny: "Przed wszystkim należy wygrać bitwę w powietrzu. Musi to stać się, zanim rozpoczniesz jakąkolwiek operację lądową czy morską". Od Alamein aż do Normandii nie toczył on ani jednej bitwy która by nie czyniła zadość temu warunkowi. Przez cały czas kampanii afrykańskiej Montgomery mieszkał w najbliższym sąsiedztwie z marszałkiem lotnictwa Cunninghamem, dowódcą Lotnictwa Pustyni, czyniąc w ten sposób zadość recepcie, zalecanej przez siebie, że wódzowie na lądzie i w powietrzu muszą być "wielkimi przyjaciółmi". Oto dalsze słowa Montgomery'ego: "Każdy z nich musi rozumieć trudności drugiej strony. Lotnictwo nie może pracować bez dobrych lądowisk, których zdobycie jest zawsze częścią planu armii. Aspekt lotniczy panuje zawsze nad całością planu. Lotnik jest zawsze bardzo czuły na punkcie lotnisk." Dlatego też w pierwszej fazie lądują w Normandii "buldozery", jako pierwsza broń wraz z czołgami i działkami. Buldozery oczyszczają płaty ziemi dla samolotów, które wznoszą się, by złamać opór wroga; wtedy armia posuwa się naprzód, buldozery wykładają nowe lądowisko, i tak dalej, w ciągłym cyklu, który kończy się w Berlinie.

Montgomery jest zdania, że każdy dowódca winien mieć absolutną władzę nad swą jednostką, jednak "armia-lotnictwo winny być tak ze sobą splecione, by tworzyć jedną całość. Wypadkowa wysiłku wojennego jest tak wielka, że nic nie może stawić jej oporu."

Dokładne studia nad wrogiem, zrozumienie ważności utrzymania wysokiej morale w wojsku, kładzenie nacisku na uzyskanie przewagi w powietrzu - czynią go ostrożnym. Nie można go zaskoczyć zniemacka. Mówi on: "Idę zawsze na pewniaka, i dlatego przygotowanie musi być zupełne i dobywać się bez pośpiechu". Teraz na on za sobą korzyści najstaranniejszego przygotowania w dziejach wojen. Idą za nim żołnierze, którzy wierzą w niego, którzy podziwiają jego pewność siebie, którzy kochają się w stylu jego rozkazów